Nᴱᴿ 37.

W PIĄTEK
Dnia 15 Listopada 1833 roku.

ROZMAITOŚCI.

PISMO DODATKOWE DO GAZETY WARSZAWSKIÉJ.

BIAŁY WŁOS.

Dokończenie.

Biedny amant, przyszedłszy do siebie, ze smutkiem poglądał na zamek; wszystko tam zdawało się zwiastować błogość i wesołość. Na pierwszym dziedzińcu paziowie i służalcy uwijali się w ozdobionych kwiatami czapeczkach, i czynili przygotowania do nocnéj biesiady; słyszał wyraźnie głosy przytłumione: »Czemuż on nie przyjeżdża!« przez pomalowane szkła okien pięknéj kapliczki zamkowéj widział migające się w niéj łagodne światełko. Tamto zapewne nań czekano, aby mu obwieścić jego szczęście; był tak blizko, a przecież nie mógł wnijść. Ach, jak okropną była zemsta Guy d'Albrota!

Zmieszany, znużony, na pół umarły, złorzecząc swéj niedoli, a nadewszystko staremu Turczynowi, który go o nię przyprawił, Andrzéj de Mauny powrócił natychmiast przez doliny i góry, zdejmując, zbierając i odplątując od krzaków i drzew, o które się był pozaczepiał, włos swój biały, tak znacznie przedłużony; a gdy go już całkiem miał w swych rękach, głęboko westchnął; potém błąkał się noc całą i jeszcze dni następnych, coraz bardziéj oddalając się od swéj pani, żywiąc się tylko dzikiemi owocami; aż nakoniec, idąc wzdłuż rzeki Sekwany, między Caudebec i Duclair, skoczywszy w wodę, utopił się i tak skończył życie.

Ciało jego wyrzucone zostało podczas przypływu wody, który się wtenczas właśnie zaczął na brzeg przeciwległy, a z obu stron rzeki włos biały tak się zaplątał o skały, że, ciągnąc się po powierzchni wody, tamował czas niejaki żeglugę; albowiem żadne, jakkolwiek mocne uderzenie statku przerwać go nie mogło. Nakoniec tyle się przedłużył, iż opadł na dno rzeki, i nie wstrzymywał już żeglugi, wyjąwszy, gdy poruszenie bałwanów podniosło go na wierzch wody. To samo dziś nam się zdarzyło. Taka była przeszkoda, która dziś rano statek nasz wstrzymała powyżéj Caudebec. A teraz wiesz Wpan prawdziwą explikacyą tego zjawiska.

»Teraz rozumiem!« odpowiedział mój Pikardczyk, westchnąwszy głęboko, jak człowiek, który największego pozbył się ciężaru; »jest to podanie gminne. Ale był już czas, abyś skończył, albowiem widzę już krzyż na wieży katedralnéj w Rouen.«

To więcéj jak podanie gminne, więcéj jak powieść ludu, odpowiedziałem, to jest historya prawdziwa! jeszczem jéj nie skończył, bo się spodziewam, że się WPan nie będziesz gniewał, gdy mu opowiem, co się z naszym dawnym przyjacielem, panem Guy d'Albrot, stało. Uspokój się, ja dotrzymam słowa i skończę moje opowiadanie, nim jeszcze zawiniemy do portu w Rouen.

Zacząłem więc daléj opowiadać, gdy mój Pikardczyk znowu usiadł na swéj bali z miną rozdąsanego: Stary bęś Hrabiego d'Oudales upokorzony przez piękną wdówkę, do któréj wzdychał, chciał jeszcze ostatni raz sprobować środka odmłodnienia; lecz ostatnie to doświadczenie na złe mu wyszło. Skóra jego ciała, nie odzyskawszy wcale dawnéj miąższości i sprężystości, tak zrzadła i rozwolniała, że, pod wpływem ciepła słonecznego, w potach, przepuszczała część wodnistą krwi, któréj błona siatkowa, nadto rozciągniona, nadto wyschła, nie mogła już wstrzymać. Aby więc przedłużyć życie, nieszczęśliwy Guy d'Albrot

musiał kryć się, podobnie żyjątkom wodnym, zaludniającym bagna, które równie od gorąca słonecznego usychają i giną, w miejscach wilgotnych. I wtenczas to schronił się pomiędzy nie, kiedy pan de Mauny nadaremnie go szukał; wszakże czarownik ten przebywał nie daleko od zamku St. Vigor, starożytnego pomieszkania Hrabiów d'Oudales.

Między słynném niegdy opactwem Granville i niemniéj słynném, lubo małém miasteczkiem Harrfleur, leży na wzgórzu zamek Orcher, z którego oko widzi rzekę Sekwanę, rozlewającą się już, jak morze, szeroko; niżéj zamku Orcher, w dół ku piaszczystym brzegom Sekwany, była niegdyś obszerna grota, wsparta na rzędach kolumn z sopleńca, ozdobiona wewnątrz na ścianach kobiercami zmchu żółtawego, a na powale myszą wiechą. Z téj groty wytryskało obfite źródło i łagodną wilgocią swoją odświeżało i orzeźwiało w niéj powietrze.— Tam, między pagórkami Gonfrevillu, przypominającemi mu słodkie chwile spędzonéj młodości, a zamkiem d'Oudales, mieszczącym w sobie skarb, którego posiadania niegdyś już nie mógł się spodziewać, Guy d'Albrot szukał schronienia. Na osobności dręczyła go jeszcze bez ustanku myśl dwoja. o miłości i zemście. Azali czary jego wywarły wpływ na pana de Mauny? Azali pani zamku zakochała się w młodym jego rywalu?...

Jednego wieczora, kiedy, ani wątpić za popędem przeczucia, błąkał się po brzegach Sekwany, trup, płynący ku morzu, zastanowił wzrok jego, a osobliwie uczucie zazdrości. Ułowił więc płynącego trupa, a przyciągnąwszy go na brzeg, poznał na nim przeklęte rysy strzelca Burgundzkiego; włos biały jeszcze się trzymał! A więc umiejętność jego nie była bez mocy! Lecz pozostawała mu jeszcze inna tajemnica do zbadania. Kapitan Mauny byłże szczęśliwszym od niego w miłości swojéj ku pięknéj wdowie, a ona, czyliż była mu wzajemną? lecz od kogoż miał się o tém dowiedzieć? od samego trupa! zaniósł go więc do swéj groty i starał się ożywić go tajemnicą swéj sztuki, (zapewne galwanizmem, do najwyższego stopnia doskonałości posunionym).— Trup został przecież bladym, nie otworzył powiek, wzniósł atoli głowę, otworzył usta i — przemówił! opowiedział całe swe nieszczęście, bezowocne usiłowania, zbrykanie się swego rumaka i udręczenie swoje, gdy widział migające światło w kaplicy zamkowéj, dokąd wnijść nie śmiał. Rzekł, i znowu na zawsze zamarł! Guy d'Albrot zaniósł go na swych barkach do rzeki Sekwany i wrzucił w wodę, która go uniesła do morza; biały włos atoli wciąż się przedłużał; z głowy jego, jak z kłębka się wysnuwał, i może póty będzie się przedłużał i wysnuwał póki bałwany morskie tu i owdzie miotać nim będą, i póki szczątków jego nie ujmą w zimne swe ramiona lody stref biegunowych.

Nazajutrz grota d'Orcher i słupy jéj z sopleńca, zgoła wszystko się zapadło, i Guy d'Albrota w gruzach swych zagrzebało.

Woda, która niegdyś w téj grocie wytryskała, lędwo się na świat wydobyła; teraz, płynąc po głębokich rozpadlinach ziemi i skał, mech i kwiaty, które dokoła rosną, petryfikuje. I tę moc jéj dziś jeszcze przypisują Guy d'Albrotowi, siódmemu synowi Hrabi d'Oudales, z łoża nieprawego.—Skończyłem moję historyą.

»Nie historyą, ale bajkę, powinieneś był powiedzieć,« rzekł mój Pikardczyk, »albowiem całe opowiadanie jest niemal alegoryczne, i zawiera tę podwójną naukę: że, szukając płonnych umiejętności, człowiek traci, co ma najdroższego: młodość i zdrowy rozum. Kapitan WPana, pan de Mauny, uczy nas, że, gdy głowa siwieć zaczyna, daremnie walczymy przeciw pierwszemu włosowi białemu; wyrwiesz go, wyrośnie drugi, trzeci i tak bez końca.«

Proszę WPana nie upatrywać w téj historyi próżnéj nauki moralnéj, wykrzyknąłem, przybrawszy powagę człowieka, który mówi z przekonania; wszystko, co do słowa, jest prawdziwe, dokładne i niezaprzeczne, przynajmniéj dla mnie: ponieważ naocznym byłem tego świadkiem! Na te słowa mój podróżny towarzysz wytrzeszczył oczy, chciał wstać, lecz znowu usiadł na swą bałę. Nakoniec, mierząc mię

długo wzrokiem przestrachu i podziwu, otworzył gębę, chcąc mię zapewne prosić o dalszą explikacyą; lecz na barce wszczął się nagle ruch ogólny; każdy szukał swych pak, swych bali; komisyonery i drągarze tłumem między nas wpadli. Przypływ i odpływ przychodzących i odchodzących rozłączył nas. Byliśmy u portu w Rouen!...

(z R. L.)

Skrzypce Paganiniego.

Capriccio. (*)

Któryż z podróżnych zwiedziwszy wspaniałą Genuę, mógłby zapomnieć ulicę Balbi, jéj marmurowe pałace, przepyszne fresca, jéj balkony pomarańczowemi ocienione drzewami? Któżby zapomniał to rozkoszne niebo, którego błękit przegląda się w Śródziemnem morzu, a którego upały łagodzone są przez aria marina, tak przyjemnie łagodzące południową atmosferę?— Lecz jakkolwiek świetny i wspaniały jest ten obraz, ma także swą przeciwną stronę, i nie jedna ciasna uliczka leżąc w bliskości téj wspaniałéj ulicy w zupełnéj sprzeczności, przedstawia widok brudu, nędzy i zepsucia, który w tym stopniu, nawet w miastach Włoskich jest rzadkością.

W jednéj z takich uliczek, mieszkał w roku 1810 w ubóstwie i nędzy, nieznany w ówczas Nicolo Paganini virtuoso par excellence, którego imie dotąd roznoszone było na skrzydłach sławy po całéj Europie, a którego, zdanie świata muzykalnego ogłosiło za niezrównanego i najwyższego w tajemnicach téj sztuki.

Mieszkał on w jednéj z najnędzniejszych chat, w Vicolo, czyli ciasnéj uliczce, gdzie, jako fabrykant muzykalnych instrumentów, ledwie tyle zarabiał, aby mógł siebie i swą matkę wyżywić, która przez wiele lat była jedyną jego towarzyszką. Ich interessa od niejakiego czasu coraz bardziéj upadały, a mała puścizna po ojcu jego, wkrótce była wyczerpana, tak dalece, że biedny Genueńczyk, z stanu pewnéj niepodległości, przywiedziony został do potrzeby zarabiania sobie chleba przez codzienną pracę. Niegdyś bowiem chatka Paganiniego wystawiała widok dobrego bytu; gdy mała tylko liczba mieszkańców Genui trudniła się tém rzemiosłem, mógł przeto żyć wygodnie z swą starą matką. W owym to czasie, widywano go regularnie pracującego wesoło przed jego małém pomieszkaniem, nucącego wesoło piosnki narodowe i z żywością odpowiadającego na żarty dziewic Genueńskich, które przechodząc odsłaniały często welon, dla spojrzenia na jego cienką, nie bardzo zajmującą figurkę, i na jego dziką i bladą twarz.

Lecz wszystkie te świetne nadzieje niezawisłości zniknęły gdyż jedna okoliczność zdawała się go skazywać na ciągły smutek i ubóstwo. Stał się on ofiarą monomanii, łupem błędnéj wyobraźni, która go we dnie i w nocy niepokoiła, a za któréj popędem ślepo postępował bez względu na niedostatek i ofiary, które mu nakazywała. Biedna jego matka, głęboko zasmucona, że syn marnotrawi swój dobytek, nadaremnie błagała go, aby ją nie pogrążał w nędzy; prośby jéj zaledwie były słuchane. Nicolo coraz bardziéj zaniedbywał swe zwykłe zatrudnienia tak dalece, że powoli jego oszczędzony kapitalik, sprzęty, a nawet odzież, pochłonięte zostały przez wydatki, na nierozsądne doświadczenia, do których go jego monomania pobudzała.

Należy jednak wyznać, że gdyby była jaka nadzieja dopięcia celu, spekulacya jego była wyborną. Posiadał bowiem skrzypce sławnego Mantuańskiego mistrza Tartiniego, za które lubownicy ofiarowali mu bardzo wysokie ceny. Pomysł, osiągnienia stopnia doskonałości tego sławnego fabrykanta instrumentów, opanował cały jego umysł. Obrachował dość trafnie, że gdyby mógł zrobić skrzypce, któreby z matematyczną ścisłością równały się swemu

(*) *Jak wiadomo, Paganini popadł u publiczności Angielskiéj w niełaskę, z powodu swéj nieczułości dla podupadłych Artystów Angielskich w Paryżu, mniéj przeto powinno zadziwiać, że teraz jedno z najlepszych pism Londyńskich, New Monthly Magazine, występuje z cokolwiek cierpkim żartem, jakiém jest to Capriccio.*

wzorowi, z tegoż gatunku drzewa, i jednymże sposobem farbowane, instrument jego musiałby równać się oryginałowi co do głosu i wartości. Lecz pomimo wszelkich usiłowań, spostrzegał zawsze małą jakąś różnicę między kopią a oryginałem, różnicę, niedającą się opisać, która go zmuszała do rozpoczynania zawsze dzieła na nowo.

Tak więc ten biedny jeniusz zdawał się bydź skazany na nieskończone robienie nowych skrzypców, i na zbliżanie się do doskonałości, do któréj zmierzał, a nie mógł osiągnąć.

Nakoniec po niezliczonych doświadczeniach, zrobił nowe skrzypce, które podług wszelkiego podobieństwa, były doskonałą kopią skrzypców Tartiniego, lecz pomimo to, tak dalece różniły się od tamtych, że Paganini zaczął sądzić, iż jakiś żywioł wyższéj natury, jakaś intelektualna istota, wyższa nad jego pojęcie, stanowi doskonałość owych mistrzowskich skrzypców.

»Kto wie«—mówił, rzucając ponurem i okropném wzrokiem na jednego Genueńskiego professora, usiłującego problem jego rozwiązać przez nowe użycie teoryi tonów, »kto wie, czy nie powinienbym za granicami tego sui owego materyalnego świata, szukać rozwiązania mych wątpliwości.— Wyrazy wystawiają myśl,—nie prawdaż?— Dobrze więc, gdy mówię o duszy muzyki, mieszkającéj w skrzypcach, nie wymieniłżem tu pomimo méj wiedzy przeszkody, która mnie wstrzymuje? Może jest istotnie jaka dusza muzyki,—jakże sądzi Signor?«

Professor z wewnętrznem przekonaniem o szaleństwie biednego Paganini, odpowiedział tylko, trząsając głową w sposób, przez który wszystko, albo nic zrozumieć nie można i wyszedł ze sklepiku, podczas gdy Paganini daléj prowadził swe rozumowania: »Tak jest, dusza muzyki;— ale jakże można takiego ducha przywołać? jakimże czarom będzie posłuszny? Słyszałem o pewnym Niemcu Mozarcie, który fletem czarnoxięzkim dziwną wydał muzykę. Dla czegożby nie można to samo zrobić ze skrzypcami?..........Zobaczmy!....« Głowa jego schyliła się na piersi i tém w głębsze zatopił się marzenia.

Pewnego dnia, odbierając ktoś smyczek dany do naprawy, zapomniał xiążkę w jego sklepiku, którą Paganini w wolnych (dość rzadkich) chwilach przeglądał. Był to jeden z owych szanownych pomników cierpliwości Florentyńskiéj, z 17go wieku, wzór nowszych encyklopedyj i Angielskich towarzystw do rozszerzania pożytecznych umiejętności. Autor tego dzieła skromnie wyznał swój zamiar pisania de omnibus rebus i jeszcze wielu innych; jakoż zrobił co mógł, uczyniwszy z swéj xiążki powszechne repertoryum na wzór głowy Broughama. Znajdziemy tam rozprawę o najlepszym systemie rządu obok historyi o jedenastu tysiącach panien w Kolonii. Po recepcie robienia wina Cypryjskiego, następuje dyssertacya nad konsylium Trydenckiem.

Paganini przerzucając niedbale karty, ujrzał wyrazy: Przechodzenie dusz. Wpadł w extazye, uczuł bowiem, że przyszła chwila odkrywająca mu wielką tajemnicę, któréj tak długo nadaremnie szukał. Pochłonął prawie ten rozdział, który jednak zawierał tylko wystawienie nauki Indyjskiéj o przejściu dusz; w głowie jego nowe zabłysnęło światło—zajął się czém prędzéj przygotowaniami do wielkiego fizyozykalicznego doświadczenia, które jak się spodziewał, wkrótce miało uwieńczyć jego usiłowania.

(Dalszy ciąg nastąpi.)